

# PORADNIK JĘZYKOWY

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILIŃSKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JEZYKA

„Poradnik Językowy” zalecony został przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dla szkół wszelkich typów rozporządzeniem Nr. II — 9864/32, ogłoszonym w Nr. 9 Dziennika Urzędowego Min. z r. 1932.

## CZY RUGOWAĆ P O L S K I (= JEZYK POLSKI)?

W 1923 r. zwrócił się jakiś czytelnik do redakcji *Języka Polskiego* (VIII, 25) z zapytaniem: »Czy to wielki błąd, wogóle czy błąd, napisać w podziale godzin: *polskie* zamiast *polski*?« Po doraźnej odpowiedzi, przyjmującej, że tworom tego typu, co *polski*, *niemiecki* w znaczeniu »Język polski, niemiecki« »nie można odmówić uprawnienia«, wszczęła redakcja ankietę, w której wzięli udział p. Birkenmajer i p. Oesterreicher. Zakończyła się ona w 1926 r. wyrokiem ostatecznie rzeczony typ skazującym (*J. P.*, VIII, 148—9; X, 15; XI, 118—9, 176—9).

Tymczasem, o ile wiemy, trzyma się nadal dość dziarsko wyklęty wyraz *polski* i podobne terminy. Domyślając się przeto, że działa tu jakiś czynnik niewzględzony, postanowił niżej podpisany przejrzeć nanowo wszystkie akta procesu.

\*

Przy uzasadnieniu skazania, dowodzono najpierw, że *polskie* ma niby za sobą wiekową tradycję, a nie *polski*. Kategorycznie twierdzi p. Birkenmajer w 1923 r. (*J. P.*, VIII, 149), jakoby forma *polskie* »istniała od początków naszego piśmiennictwa«. Ostrożniej już nieco i mniej wyraźnie utrzymuje on dwa lata później (*J. P.*, XI, 118), że była »uświęconą tradycjami wieków«.

Nawet w drugim, złagodzonem brzmieniu, twierdzenie takie nie da się przyjąć, jako niezgodne z istotą faktów historyczno-językowych. Dawne wprawdzie przykłady przytaczać można i mianowicie wynotowano »wykłada łacińskie« w zabytku XV w. (Modlitewnik Nawojki), »wyłożon jest w polskie« u Wietora (1521), »na polskie z pilnością wyłożona« (1551), i t. d. Ale we wszystkich tych formach mamy właściwie do czynienia, jak dowodnie wykazał dr. Oesterreicher, z narzędnikiem l. mn. odmiany rzeczownikowej przymiotników, który zakrzepł w postaci przysłówka<sup>1)</sup>. Jak doszło do zamiany *polski* —

<sup>1)</sup> W 1395 r. »wypisane niemiecki«, »przepisać łaciński« (A. Brückner, *Sredniow. proza polska*, Biblj. Narod. I nr. 68, str. 224). Por. *przed wieki, innemi słowy* i t. p.

*polskie*, to inna sprawa. Dość, że tego rodzaju przysłówki odprzymiotnikowe dotrwały przynajmniej aż do końca w. XVI<sup>2)</sup>, z czego wynika, iż dyplom prastarości typu *polskie* — w znaczeniu »język polski« — nie ma autentyczności i narodziny jego nie przypadają na »początki naszego piśmiennictwa«.

Ale na tem nie koniec, bo znacznie dalej zejść można. Nie wystarczy jedynie wzgląd, podkreślony w zajmującym artykule dr. Oesterreichera (*J. P.*, XI, 176—9), na fonetyczne i morfologiczne momenty omawianego typu, należy mieć również na uwadze momenty natury gramatyczno-znaczeniowej. „Insza” przecie forma *polskie*, „insza” wyraz *polskie* jako ekwiwalent wyrażenia »język polski«. Otóż narzuca się spostrzeżenie, że typ *polskie*, na długo jeszcze po ukazaniu się w zabytkach, odmienną wcale odgrywał rolę gramatyczną, niż w nowoczesnej mowie. Występował mianowicie nie jako podmiot, ale stale i wyłącznie w funkcji zależnej w zdaniu. Czytelnik wybaczy nam tu kilka niezbędnych szczegółów.

Wtedy, kiedy wyraz *polski(e)* przybierał pozór przymiotnika w mianowniku — bierniku nijakim l. poj. odmiany zaimkowej, zaczął on jednocześnie — czego nie zauważono — wiązać się z przyimkiem *na*, i to nie przypadkowo, ale z tej przyczyny, że szczególnie się nadawał ten przyimek do wytwarzania zestawień o znaczeniu t. zw. wyrażen przysłówkowych sposobu (por. *na czczo*, *na próżno*, *na biało*...). Jak dałoby się na licznych przykładach potwierdzić (nie myślimy tu przywozić aparatu źródłowego), ścisły i bezpośredni zachodzi związek między wymieraniem typu przysłówkowego *polski* i pojawianiem się grupy *na polskie*, dlatego właśnie, że znaczeniowo oba zwroty dokładnie w początkach do siebie przystawały (z wyrażeniem »na polski« nigdyśmy się nie zetknęli). Ale, pod wpływem takich tworów, jak »na czczo«, »na próżno«, »na zawsze«, nową tę grupę zaczęto powoli pojmować jako będącą zestawieniem syntaktycznym, składającym się z przyimka i *przymiotnika*. Stąd też zczasem poszło używanie jej już nie w formie skostniałej, ale i z różnymi przyimkami, przyczem naturalnie domyślny przymiotnik musiał występować pod odnośną postacią: *w polskie*, *z polskiego*...

Procesowi temu zacierania się pierwotnej wartości nader skutecznie dopomógł w tymże okresie inny jeszcze czynnik. Często mianowicie na początku, a to z powodów również uchwytnych, pozostawał przysłówek *polski(e)* w związku z czasownikiem *umieć* (np. »włoskie umiał«, obok »po włosku umiał«, *Fortunat*, ok. 1570 r.). Wyjąwszy zaś parę utartych a zapewne wtórnych powiedzeń (jak »umieć pacierz«), było wówczas słowo *umieć*, tak samo jak i dzisiaj, nieprzechodnie, i nie ulega wobec tego wątpliwości, jak dowiódł

2) Inaczej z przysłówkami tegoż pochodzenia, ale należącymi już do innej kategorii znaczeniowej, jak np. *złodziejskie*, *pańskie*, *towarzyskie*, które się znajdują jeszcze na początku w. XVIII.

dr. Oesterreicher, że w dopiero co przytoczonym przykładzie »włoskie umiał« znaczy tyle, co »umiał (mówić) po włosku«. Lecz pojęcie znajomości, umiejętności, wyrażane przez ten czasownik, wyraża się i przez inne, wskutek czego analogja, działająca tu także, spowodowała, że na wzór zwrotu »umieć polskie« zaczęto też mawiać np. »znać polskie«, »rozumieć polskie«. Skoro zaś zastępcze czasowniki były już przechodnie z natury, musiało tu określenie *polskie* dojść ostatecznie w poczuciu językowym do upodobnienia się pod względem funkcji do jakiegokolwiek przedmiotu bliższego w formie biernika, jak np. »znać język polski«, »rozumieć filozofję«, i t. p.

W ten to sposób do zamiany treściowej typu przysłówkowego *polski(e)*, która nastąpiła po formalnej, w pierwszym rzędzie przyczyniły się mniejwięcej jednocześnie przyimek *na* i czasownik *umieć*, dopiero później luzowane ewentualnie przez inne przyimki i czasowniki. One to przede wszystkim złożyły się na rozwinięcie i ustalenie wartości przymiotnikowej wyrazu *polskie*. Inaczej mówiąc, a to właśnie chcieliśmy tu uwydatnić, nabycie przez rzeczony wyraz tej ostatniej wartości odbyło się w ściśle określonych warunkach gramatycznych, czem się tłumaczy ten fakt niedostrzeżony a bodaj zasadniczy, że wyraz ten długo lichy prowadził żywot w wąskich ramach utartych wyrażeń. Niedalej, jak przed stuleciem wyemancypował się gramatycznie, t. j. zaczął występować w funkcji *podmiotu*, oznaczającego »język polski«. Dlatego to ani słowa o nim jeszcze u Lindego. Stąd także to, że w XIX w. bywał on kwestjonowany i pomawiany o pochodzenie niemieckie (według typu »das Polnische«, »das Deutsche«). Bałamutny chyba zarzut, ale bądźco bądź zrozumiały. Boć staropolska szata, to nie treść »uświęcona tradycjami wieków«. Jeżeli *polskie*, co do formy, liczy rzeczywiście parę stuleci, musimy natomiast stwierdzić, że, co do znaczenia i roli gramatycznej, które to momenty wchodzą tu jedynie w grę, należy właściwie do nowotworów i nie ma zatem prawa, wobec młodego *polski*, udawać wielkiego pana.

\*

Ale bo *polski*, to natręt, »wprowadzony z rosyjskiego« (*J. P.*, VIII, 149), »naleciałość nauczania rosyjskiego w drugiej połowie XIX w.« (XI, 118), to skrót »sztuczny i papierowy« z »język polski«, utworzony »przy pomocy formalistycznego powołania się na logikę«, a wyglądający nieswojsko »jak zwykle wytwory, brane nie wprost z życia, ale z teorii« (VIII, 25, 149; X, 15).

Co do genezy typu *polski*, wolno tymczasem odmienne zgoła mieć zapatrywanie. Tak bywa w dziedzinie językowej nieraz, jak wiadomo, że wyda się takie a takie zjawisko dziwacznem, »kapryśnem«, jakby powiedział prof. A. Brückner, dlatego, że się nie postarano we właściwe jego przyczyny wnikać.

Pytaniu, skąd taką uporczywą czerpie żywotność współczesny typ *polski*,

odpowiadają same przez się wywody powyższe. Jako nowotwory, formy tego rodzaju, co *polskie*, *niemieckie*, w znaczeniu »język polski, niemiecki«, nie zdążyły głębokich zapuścić korzeni i zadomowić się w mowie potocznej z wartością już istotnie rzeczownikową, jak to miało miejsce dla odwiecznej warstwy tyłu wyrazów odprzymiotnikowych (dobro, podymne, Krakowskie...). Unieruchomieniu ich ostatecznemu w takiej wartości stoi na przeszkodzie nie tylko brak dłuższej tradycji, ale i ten fakt psychiczny, że nieświadomie i nieodparcie kojarzą się one w wyobraźni językowej z równoznacznymi męskimi wyrażeniami »język polski«, »język niemiecki«. Był czas, kiedy i starodawna forma *polski* wydawała się »niesamowita« (Oesterreicher), wskutek czego właśnie została »poprawiona« na *polskie*, po to, by przez różne przechodzić koleje znaczeniowe. Dopóki zaś uboczny ten twór pozostawał częścią wyrażenia, jako zależny od przyimka lub czasownika, dopóty nie raził i uchodził. Od czasu natomiast, jak w funkcji podmiotu zaczął zastępować męskie określenie omowne »język polski«, koliduje on z niem co do rodzaju i z kolei wydaje się »niesamowity« (co można darować, zważając, że aż do roku 1926 mylnie i fachowcy interpretowali rodzaj nijaki tego typu). Stąd — ale dla odmiennych już powodów — silna skłonność do ponownej »poprawy«. Tylko że nierównie mniej ważnej, aniżeli tamta. Między przymiotnikiem nijakim *polskie* a męskim *polski* odległość przecie nieporównanie krótsza, niż między pierwotnym przysłówkiem *polski*, t. j. narzędnikiem l. mn. odmiany rzeczownikowej, a przymiotnikiem *polskie*, t. j. mianownikiem-biernikiem l. poj. odmiany zaimkowej. Tu istotnie zboczenie pod dwojakim względem: morfologicznym i znaczeniowym. Tam zaś skromne wyprostowanie, polegające na samorzutnem przywróceniu prawidłowego jakoby stosunku między formą odczuwaną jako przymiotnik i domyślnym rzeczownikiem.

Okazuje się zatem, na tle historycznego rozwoju języka, że *polski* nie ma wcale znamion wytworu sztucznego i papierowego, ani też skądkolwiek wprowadzonego. Owszem, to wyraz samorodny i »wprost z życia« wydobyty, jako dalsze przerobienie średniowiecznego przysłówka odprzymiotnikowego *polski*. Pomiędzy nim i *polskie* taki sam zachodzi bezpośredni związek genetyczny, jak poprzednio między *polski* i *polskie*, w ten sposób, że cała ewolucja morfologiczna oraz semantyczna dałaby się unaocznic jak następuje:

- 1) do XV w.: *polski*, przysłówek (przepisać polski, umieć polski).
- 2) XV — XVI w.: *polskie*, *polskie*, przysłówek (przepisać polskie, na na polskie; umieć polskie).
- 3) XVI — XVIII w.: *polskie*, przym. nijaki w funkcji zależnej (przepisać z polskiego, znać polskie).
- 4) XIX w.: *polskie*, rodzaj rzeczownika odprzymiotnikowego nijak. (polskie należy do grupy języków zachodniosłowiańskich).

5) Druga poł. XIX w.: *polski*, rodzaj rzeczown. odprzym. męsk. (*polski* należy do grupy...).

Przypomnijmy sobie pozatem, że, o ile chodzi o przestępstwo zmiany rodzaju gramatycznego, mógłby słusznie nasz *polski* powołać się na »precedensy«, jako że w języku kulturalnym roi się od winowajców tego pokroju (podkomorzy, książę, bracia...), którzy temuż właśnie instynktowi logicznemu zawdzięczają istnienie.

\*

A więc, zarzuci kto, »tłumaczyć na łaciński«, »znać łaciński«, »poznać grecki«! Są to zaiste »dziwactwa«, jak je piętnuje p. Birkenmajer (*J. P.*, XI, 119). Lecz zachodzi tu niebezpieczeństwo popełnienia mimowolnego sofizmu, przez pomieszanie części z całością. Przypadek przecie szczególny. Rozporządza polszczyzna bowiem, na oznaczenie danego języka, dwoma tylko właściwymi a tradycją uświęconymi terminami: *greka*, *łacina*. Żeby je odrzucić na rzecz nowych jakichkolwiek wyrazów, żadnych oczywista niema do tego powodów. Ale z tego, że *grecki* i *łaciński*, w znaczeniu »język grecki«, »język łaciński«, słusznie mogą być kwestjonowane, nie wynika, by tem samem potępienia godzien był również cały wogóle szereg podobnych formacji na — *ski*. Nic wspólnego między sprawą usunięcia form dawno już przyswojonych a sprawą przyjęcia nowego omawianego typu wyrazów. Cóż temu przeszkadza, by z jednej strony utarte dziś terminy *greka*, *łacina* zachowano, a z drugiej niezbyt surowo traktowano świeże formacje tego rodzaju, co *polski*, *niemiecki*? Wypada zresztą mimochodem zauważyć, że obie serje nie tak znów od siebie odbiegają, gdyż *greka* i *łacina* to dwie formy odprzymiotnikowe, pozostające w stosunku gramatycznym z niedopowiedzianymi rzeczownikami: *graeca* (*lingua*), *latina* (*lingua*), czego właśnie dokładny mamy odpowiednik i jakby odwzorowanie w nowoczesnym typie *polski* (*język*), *niemiecki* (*język*), i t. d.

Potrzebują Polacy, dla użytku codziennego, jakiegoś słowa krótszego, niż wyrażenie omowne *język polski*, oraz i ściślejszego, niż ciężki wyraz pochodny *polshczyzna*, nazbyt elastyczny pojęciowo (bo określający to wszystko wogóle, co rzeczy polskich dotyczy). Dlatego też powstało z biegiem czasu *polskie*, następnie zaś *polski*, oba z kolei podejrzewane i pomawiane o sztuczność. Nie nasza rzecz tu rozstrzygać. Ograniczyłem się, jako cudzoziemiec i miłośnik języka polskiego, do podkreślenia, na tle dziejowem, kilku nieobojętnych momentów, nakazujących przyjąć, zdaniem naszym, że nie byłoby chyba pozbawione podstaw faktycznych jak i logicznych odwołanie się od wyroku, skazującego nowotwór *polski*.

*Henryk Grappin*

\* \* \*

Tak więc Gall, tym razem nie anonim, wyjaśnił źródłowo pewien szczegół z historii naszego języka i pozwolił zdjąć krzywdzące „piętno” z wyrażenia,

którym się bardzo wielu Polaków posługuje. Powstaje jeszcze jedna kwestja. Czy na używanie wyrazu *polskie* w znaczeniu »język polski« nie miały żadnego wpływu odpowiednie konstrukcje — niemieckie (*das Deutsche*)? Zastanowić się nad tem w każdym razie można.

W numerze 56 (z d. 25.II b. r.) *Gazety Polskiej* p. Gustaw Morcinek ogłosił feljeton p. t. „Ten Kampf z tem Drachem”. Mowa w tym feljetonie o wydawnictwach, które się przed wojną ukazywały na Śląsku „w paskudnym żargonie niemiecko-polskim”. Jednym z wydawców był „niejakiś A. Nachbar, rechtór” (czyli nauczyciel), który wśród innych pereł swego natchnienia ogłosił i taką: „Ten Kampf z tem Drachem od Szillera zmyślony a na *polskie* od Nachbara überzecowany”. „Überzecować” okazało mu się najłatwiej na *polskie*. Może to — jak i geografja zwrotu — ma jakąś wymowę.

W. Doroszewski.

## „WIECZNE ZMARTWIENIE”

Ortografja.

Podajemy do wiadomości Czytelników niektóre punkty ostatniego komunikatu Komitetu Ortograficznego P. A. U.

„1. Uniezależnić pisownię wyrazów typu *diecezja* od rozróżniania początkowej, środkowej i końcowej pozycji zgłoski w wyrazie oraz od odróżniania rodzimego czy obcego pochodzenia odnośnych wyrazów i pisać w nich *j* po spółgłoskach *s, z, c, t, d, r* i *l*, natomiast *i* po *n, p, b, f, w, m, k, g, ch, h*, np. *sjesta, azjatycki, emocja, tjara, Etjopia, hostja, djecezja, Holandja, drjakiew, Marja, ljana, Anglja*, natomiast *Dania, mania, kosynier, inżynier, turniura, piuska, ekspiacja, kopia, biolog, fobia, fiołek, atrofia, wiatyk, awiatyka, miazmat, chemia, Kiachta, religia, Antjochia, Hieronim* i t. p. Jest to pisownia prawie zupełnie zgodna z pisownią Akademji sprzed r. 1918, tylko że ówczesne *y* zastąpiono przez *j*; różnica zachodzi tylko w pisaniu *j* po *l*. Wyrazy, któreby przez pisanie *j* stały się wbrew wymowie jednozgłoskowemi, pisze się przez *yj*, np. *Syjon, Syjam, cyjan, Tryjest, tryjer, tryjumf* lub *tryumf*. Nie rozróżnia się dopełniacza liczby mnogiej rzeczowników obcych na *-ia, -ja* od dopełniacza liczby pojedynczej, np. *tych linii, tej linii, kwestji, lokacji, arji* i t. p.

...5. W pisowni łącznej i rozdzielnej grup wyrazowych dążono do ściślej-szego niż dotąd ujęcia tego niezmiernie skomplikowanego materiału. Postanowiono:

a) Przymiotniki złożone pisać razem, np. *staropolski, późnojesienny, górnołotny*; łącznika używać w takich wypadkach, jak *biało-czerwony, historyczno-literacki, południowo-wschodni, staro-cerkiewno-słowiański*. Ale razem: *głuchoniemy, jasnowidzący, żelazobetonowy*.

b) Wyrażenia składające się z dwu lub kilku wyrazów, zwłaszcza z przymiaka i rzeczownika, przymiotnika, zaimka, zasadniczo pisać rozdzielnie, bez względu na ich znaczenie przysłówkowe lub przenośne. Ale poczyniono dużo wyjątków szczegółowych dla wypadków, których łączna pisownia jest tradycją utrwalona, np. *na przykład, na powrót, na prawdę, na kształt, ale doprawdy, naprzód, nareszcie, nadal; z cicha, za młodu, po ludzku, ale zgoła, zwolna, pomalą; na wprost, do dziś, ale dopóki, dopóty; na co, po cóż, ale dlatego, dlatego; dzień dobry, dobry wieczór, ale dobranoc* i t. p. Niektóre szczegóły muszą jeszcze podlec szczegółowemu zbadaniu.

d) Pisze się razem wszelkie przymyki złożone z samych przymików, np. *poza, ponad, spod, spoza*''.

Tyleśmy dotąd czasu i miejsca w *Poradniku* musieli, ze względu na aktualność sprawy, poświęcić ortografii, że i tym razem nie możemy przytoczonych ustępów komunikatu pozostawić bez omówienia i wyjaśnienia.

Najpierw co do owej *joty* wysuniętej na czoło komunikatu. Też *jocie* poświęcony jest w dwumiesięczniku *Język Polski* (nr. 1 z r. 1936, str. 19—23) artykuł prof. Nitscha p. t. *Najtrudniejsza sprawa ortograficzna*. Autor omawia kilka projektów, rozważanych przez Komisję Krakowską Komitetu Ortograficznego i stara się uzasadnić, dlaczego dzisiejszy stan rzeczy jest zły i dlaczego projekt Komisji jest lepszy. Między innymi podkreśla tak samo, jak i komunikat, że pisownia proponowana przez Komisję Krakowską, a uchwalona na posiedzeniu pełnego Komitetu dn. 7 i 8 lutego b. r., jest prawie zupełnie zgodna z pisownią Akademii z przed r. 1918. Jak widać, lat temu osiemnaście w wyniku namysłów postanowiono, o ile chodzi o zasady, jedno: obecnie po namysłach przekreśla się to, co uznano za dobre w r. 1918, uznaje się natomiast za dobre to, co w r. 1918 uznawano za złe. A przecież ważki głos mają częściowo ci sami ludzie. Już to samo wystarcza, aby podrywać zaufanie społeczeństwa do wszelkich zabiegów, dokonywanych na ortograficznym podwórku przez specjalistów i do ośmieszania całej ich pracy, pośrednio zaś wogóle naukowego ujmowania t. zw. faktów językowych. I tu właśnie jest nieporozumienie. Myślenie naukowe powinno być przede wszystkim myśleniem trafnym, umożliwiającym dobrą orientację wśród rzeczy powikłanych. Gdy się zbada dokładnie materiał i już nie przewiduje w nim niespodzianek, wówczas można wytknąć drogę, po której się ma do jakiegoś celu zmierzać. Jeżeli w trakcie posuwania się po drodze okazuje się, że jest ona zła, to oczywiście trzeba z niej zejść, ale wówczas idący może mieć usprawiedliwiony żal do tych, którzy mu złą mapę dali do rąk. A właśnie wykreślanie map musi być naukowym zadaniem „sztabów”. Jeżeli — co się ze wszystkich stron słyszy — społeczeństwo nie umie po ortograficznych szlakach chodzić, to winna jest temu przede wszystkim niefortunna kartografia. A kartografia jest niefortun-

ną wtedy, kiedy jej opracowanie jest złe, niewystarczające, *nienaukowe*. Cały nasz — dość upokarzający — zamęt ortograficzny płynie nie stąd, że do rzeczy praktycznych przykłada się miarę „naukową”, tylko stąd, że rozległe dziedziny zagadnień nie były właśnie pod względem naukowym opracowane, że nauka nie sięgała swem porządkującym i upraszczającym oddziaływaniem tam, dokąd powinna była sięgać. Wszakże od r. 1918 materiał języka polskiego nie uległ żadnym zmianom, o ile chodzi o rzeczy, któreby się mogły wiązać z pisownią nieszczęsnej *joty*; zmieniają się tylko dyrektywy prawodawców, czego jedyną przyczyną może być fakt, że we właściwym czasie nie mieli właściwej, *naukowej*, a więc trwałej orientacji w zakresie zagadnienia. Nie chodzi tu o biadanie, wypominanie, obarczanie kogoś odpowiedzialnością, ale o stwierdzenie rzeczy istotnych i wyzyskanie minionego doświadczenia w chwili obecnej, gdy się rozważa całokształt spraw ortograficznych. Niema się co dziwić „niezliczonym *djetom*” (*bjografje* są bez porównania radsze) — czyli temu, że tu piszą *j* zamiast *i*, i nie należy przyzwyczajać publiczności do tego, że jej oporoność czy powściągliwość wobec prawideł ortograficznych wystarcza „prawodawcom” do rewidowania zasad i poszukiwania lepszych, bardziej odpowiadających gustom piszących. Możeby było lepiej dać trochę czasu na przyzwyczajenie się do reguł? Za gustami nie można byłoby nadążyć, a im bardziejby się chciało to zrobić, tem zamęt byłby większy.

Tu niema sposobności do aforyzmów (w związku z Heglem raczej, niż z Machem) o teorii, która powinna zgadzać się z życiem.

W zakresie ortografii rzeczy *teoretycznie* najprostsze byłyby i życiowo najprostsze, zamieszaniu winne są chwiejność, niewyraźność, zmienność teorii, a nie konflikt teorii z praktyką.

Wielka szkoda, że w r. 1830 wprowadzono *jotę*, ale czy nowa zmiana, proponowana obecnie, przynosi poprawę, to rzecz bardzo wątpliwa.

Że Projekt ogłoszony w prasie wywołał dość powszechny odruch zdziwienia i niechęci, temu częściowo jest winna sama redakcja komunikatu. Gdy się gruchnie w szeroki ogół wiadomością pozbawioną wszelkiego wyjaśnienia, że się pisze *j* po literach *s, z, c, t, d, r, l*, natomiast *i* po *n, p, b, f, w, m, k, g, ch, h*, to nikt z poza fachowców nie rozumie, dlaczego właśnie te litery wybierano.

Sposób ujęcia w komunikacie i w artykule prof. Nitscha uchwał Komitetu w sprawie łącznej i rozdzielnej pisowni wyrazów, również usposabia do pewnych uwag. O sprawie tej pisze obecnie prof. Nitsch jako o względnie prostej, wymagającej tylko kolejnego przegłosowania pewnych szczegółowych pozycji. Zasługuje na uwagę, że w wydaniu IX *Pisowni polskiej*, autor tego wydania pisał na str. 37 rozstrzelonym drukiem: „*Konsekwentne rozstrzygnięcie, co pisać razem, a co osobno, jest jedną z najtrudniejszych spraw ortogra-*



ficznych". Że taką była ta sprawa istotnie, o tem przekona każdego choćby uważne przeczytanie odpowiednich ustępów IX wydania *Pisowni* i przejrzenie następującego po tekście słowniczka. Niema tam nawet próby postawienia jakiegokolwiek zasady. Nastrój chwiejności i niewykończenia bije z każdego niemal zdania, poświęconego temu zagadnieniu. Na str. 37 czytamy m. in.: „Powyższe zasady nie mogą bezwzględnie rozstrzygnąć ani nawet przewidzieć wszystkich możliwych przypadków, bo poczucie pewnej grupy wyrazów, jako wyraźnej całości, waha się nieraz indywidualnie, po drugie zaś, przez częste używanie coraz nowe grupy, przedtem luźne, zaczynają być poczuwane jako całości znaczeniowo jednolite”. Widzi się więc tu perspektywę narastania coraz nowych nieporozumień, ale się nie robi nic, żeby im zapobiec, żeby wybrnąć z zamętu przez ustalenie jakiejś normy. Nad przepisem dominuje medytacja w rodzaju: „Kto np. przy zwrocie: *patrzył w dal*, myśli o konkretnej *dali*, ten napisze *w dal*, kto zaś pojmie to jako patrzenie nie na bliski<sup>1)</sup> przedmiot, ale jako utkwienie błędnego wzroku w jakąś nieokreśloną próżnię, ten skłonny będzie napisać *wdal*. Nie można nic zarzucić napisaniu *samnasam*, *wsamraz* *razwraz* lub *wetzawet*, *bokobok*, ba, możnaby nawet bronić pisowni: *rękawrękę* »zgodnie«, *noswnos*, *nogazanogą* »pomalutku«, (*chłop*) *podwąsem* i mnóstwa innych” (l. c. 38). Dalszy ciąg jest w tym samym stylu. Tak jest w tekście przepisów.

A w układzie materiału: rozdzielnie *w głąb*, *w głębi*, *w istocie*, *w razie*, *z pewnością*, *z początku*, *z przyczyny*, łącznie *włot*, *do dnia*, *naczas*, *nagwałt*, *naksztalt*, *naostatek*, *napamięć*, *spowodu*. Nie jest to kwestja zasady i wyjątków, lecz całkowity brak kryterjum, wobec którego niewiadomo, jak pisać wyrażenia pominięte w słowniku, jak *w bok*, *w całości*, *w krąg*, *w pełni*, *w porę*, *w szczególności*, *w ślad*, *w trop*, *z konieczności* i mnóstwo innych: czy ma się to wszystko zaliczyć do serji *w głąb*, *w istocie* i t. d. i pisać rozdzielnie, czy też do serji *włot*, *napamięć*, czyli do wyrażen uznanych za już dojrzałe do pisowni łącznej?

Kwestja łącznego i rozdzielnego pisania wyrazów była tą, która w sposób najjaskrawszy ilustrowała niski poziom naszych przepisów ortograficznych zarówno pod względem stylu naukowego, a więc wartości formalno-dydaktycznej, jak i pod względem opracowania materiału.

W r. 1933 na zlecenie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego opracowaliśmy memoriał p. t. *Pisownia polska w ostatnich wydaniach* (str. 38).

Dążąc do tego, aby przepisy ortograficzne mogły być trwałe, udzielaliśmy miejsca w *Poradniku* artykułom, których treść nie była czasem wybitnie inte-

1) później w dyskusji wyjaśniono, że to „bliski” jest błędem druku.

resująca, ale które zawierały rzecz pod pewnym względem najcenniejszą: rozklasyfikowany materiał, jedyną podstawę rozważań.

Przy wydatnej pomocy ś. p. dyrektora Passendorfera, który do zagadnienia łącznego i rozdzielnego pisania wyrazów zgromadził w ciągu wakacyj 1935 r. tyle małych, z cienkiego papieru, kartek z przykładami, że zbiór ich ważył 8 kilo, opracowaliśmy ten, jak przyznaje komunikat „niezmiernie skomplikowany materiał” i doszliśmy do sformułowania wyraźnych tez. Komisja Ortograficzna, pracująca pod przewodnictwem prof. Słońskiego, ustaliła wyraźne wytyczne, wychodząc z założenia, że ponieważ nie można wprowadzić jednolitości w graficznym łączeniu wyrazów w jedno, bo na tej drodze zupełnie niewiadomo, gdzie się zatrzymać, należy *zawrócić z niefortunnej drogi*, którą tak jaskrawo zalecało w szczególności IX wydanie pisowni, *położyć kres sztucznie podsycanemu pędowi do łączenia wyrazów w jedną całość graficzną* (p. artykuł A. Passendorfera w ostatnim numerze *Poradnika*) i przyjąć za zasadę pisowni *rozdzielną* w jak najszerszym zakresie. A więc przykładowo: zawsze rozdzielnie *z góry*, niezależnie od tego, czy kto *z góry* zjeżdża, spada, schodzi czy płaci, bo różnica między przysłówkowym a nie przysłówkowym charakterem wyrażenia jest często bardzo drobna i nieuchwytna. Tak samo we wszystkich, bardzo licznych podobnych wyrażeniach. Zawsze rozdzielnie nie tylko w typie *z pańska*, *z bliska*, ale i w typie *z cicha*, *z daleka*, nie tylko w typie *po polsku*, ale i w typie *po cichu*, *po kryjomu*.

Sformułowanie tego rodzaju zasady pozwala na traktowanie wszelkich wypadków pisowni łącznej jako wyjątków, których liczbę należy sprowadzić do możliwego minimum, bo im mniej wyjątków, tem prostsza pisownia. Z tą myślą były też ułożone spisy wyrazów, nad którymi głosowano najpierw w Komisji, potem na posiedzeniu pełnego Komitetu. W głosowaniach, co można było przewidzieć, prostota zasady została poniekąd zmacona, bo siła biernego nawyku kazała się to temu, to owemu opowiadać za łączną pisownią pojedynczych wyrazów. Panowała jednak powszechna zgoda co do tego, że sama zasada pisowni rozdzielnej jest zasadą wprowadzającą jaki taki ład tam, gdzie go wogóle nie było.

Cała ta sprawa wypadła nieco, jak Francuzi mówią „en grisaille”, czyli na szaro, w sposób zamazany zarówno w przytoczonym Komunikacie, gdzie na pierwszy plan wysunięto dość niespodziewanie sprawę przymiotników złożonych (w której zresztą przyjęto projekt, podany przez nas w artykule *Przymiotniki złożone w języku polskim i ich pisownia*, p. *Poradnik* n-ry 3 i 4 z ub. roku), jak i w artykule prof. Nitscha. Autor, pisząc o „najtrudniejszej sprawie ortograficznej”, zaznacza, że nie jest nią pisownia „grup wyrazowych”: „Tu, — czytamy, — specjalna Komisja powzięła pewne postanowienia, zwłaszcza to, że gdzie się nie da rzeczy ująć w ogólne prawidło, tam się będzie pisało od-

dzielnie, ale tylko o ile się już nie przyjęła pisownia łączna. A więc np. łączną pisownię przyimków złożonych, jak *zza, spoza, znad, popod, sprzed* można przyjąć jako zasadę i tak ją komisja ujęła, ale gdzie takie ujęcie niemożliwe, np. co do *natychmiast, nawzajem* czy *na tych miast, na wzajem*, tam w każdym wątpliwym wypadku rozstrzygnie głosowanie: co w niem przejdzie jako pisane łącznie, to się tak ustali w spisach, a co się w nich nie znajdzie, będzie się pisać rozdzielnie i znów spokój”.

W tem sformułowaniu właściwy sens postanowień w sprawie łącznego i rozdzielnego pisania wyrazów został zagubiony: rzecz jest ujęta tak, jakgdyby „ogólnym prawidłem” była pisownia łączna, a tylko tam, gdzie tego „prawidła” nie da się zastosować, miałyby się pisać rozdzielnie. Rzecz się ma zupełnie odmiennie, jak wynika z naszych uwag, podanych wyżej. Właśnie *zasada* pisowni rozdzielnej pozwala na umieszczanie w spisach tylko wyjątków, któremi są wyrazy pisane łącznie. Gdyby „ogólnym prawidłem” była pisownia łączna, to należałoby wymieniać w spisach wypadki pisowni rozdzielnej, których ilość jest nieograniczona (cytowane wyżej *w bok, w całości* i t. d., a prócz tego choćby *na podziw, na pokaz, na pozór, na uwięzi, na wierzch, na wylot, na wzór, na zapas, na znak* i t. p.).

Uchybialibyśmy powadze sprawy, gdybyśmy wywlekali szczegóły dla samej tylko „historji”. Upominamy się jednak o dokładność w referowaniu treści uchwał, bo od sposobu ich uzasadniania zależy w pewnym stopniu ich skuteczność. Mieliśmy sposobność przedstawiania sprawy łącznego i rozdzielnego pisania wyrazów w różnych środowiskach i mogliśmy stwierdzić, że jasne stawianie sprawy nie wywoływało żadnych nieporozumień i niczyich protestów. Tuszowanie zaś istotnej treści powziętych uchwał może tylko utrudniać Komitetowi ich realizację.

Chociaż nie wydaje nam się, by sprawa *joty* została obecnie bardzo dobrze opracowana — dlatego przedewszystkiem, że nikt nie przedstawił *całości* materiału i nie dokonał dokładnych zestawień wszystkich mogących budzić wątpliwości wyrazów — to jednak po zatwierdzeniu urzędowem uchwał Komitetu będziemy się do nich stosowali i gotowi jesteśmy do przestrzegania ich nawoływać. Poco zamącać rzeczy proste i osłabiać nastrój solidarnej współpracy?

*Witold Doroszewski*

P. S. Jako odbitka ze sprawozdań T-wa Naukowego Warszawskiego ukazała się w druku praca podpisanego p. t. *Łączne i rozdzielne pisanie wyrazów* (stron 35). Prenumeratorzy *Poradnika* mogą otrzymać tę pracę bezpłatnie (za zwrotem kosztów przesyłki) z Redakcji pisma (W-wa, Smulikowskiego 1).

*Uwaga dodatkowa.* Z powodu strejku drukarzy zarówno niniejszy, jak i lutowy, numer *Poradnika* uległy znacznemu opóźnieniu. Od czasu, gdy pisany

był powyższy artykuł, w sprawie *joty* zaszła pewna zmiana: postanowiono ograniczyć pisanie *joty* tylko do pozycji po literach *s, z, c*. A więc reguła byłaby: *j* pisze się tylko po *s, z, c*, we wszystkich innych wypadkach — *i*. Reguła jest istotnie prosta, ale z melancholji nie leczy do gruntu.

### W SPRAWIE PISOWNI NAZW TURECKICH.

Artykuł prof. Zajączkowskiego należy do cyklu artykułów „ortograficznych”. Konieczność uporządkowania pisowni nazw wschodnich daje się odczuwać w stopniu niemniejszym, niż w zakresie innych, dotąd systematycznie nie uporządkowanych spraw pisowniowych. *Red.*

Postulat jednolitej pisowni tureckich imion i nazw geograficznych był już niejednokrotnie wysuwany. Przed dziesięciu laty pisał o tem prof. Tadeusz Kowalski, słusznie zarzucając autorom omawianych prac o Turcji, że niewolniczo przepisują nazwy tureckie z książek w obcych językach europejskich, wskutek czego pisownia tych nazw jest za każdym razem odmienna: angielska, francuska, czy też niemiecka <sup>1)</sup>.

Zdawaćby się mogło, że tak prosta i jasna sprawa, jaką jest ujednostajnienie pisowni imion i nazw tureckich, zgodnie z elementarnymi zasadami ortografii polskiej, powinna była się spotkać z jaknajwiększym zrozumieniem osób i czynników zainteresowanych. Tymczasem w praktyce stało się inaczej. Już w kilka lat potem, prof. Kowalski musiał z żalem stwierdzić, że jego uwagi w tej sprawie „nie na wiele się przydały”, bo i tym razem w omawianej publikacji M. S. Z., jedna i ta sama nazwa miejscowości pisana jest w kilka różnych sposobów <sup>2)</sup>. Że ogólny stan rzeczy na tym niewątpliwie drobnym, niemniej przeto zasługującym na uwagę odcinku pracy w dziedzinie ustalenia pisowni polskiej nie uległ od tego czasu zmianie na lepsze, wymownie świadczą najnowsze publikacje. Tak np. ostatnio wydana praca prof. Wł. Konopczyńskiego „Polska a Turcja” (skądinąd bardzo wartościowa i sumienna) aż się roi od przykładów niekonsekwentnej i nieustalonej, a często wprost błędnej pisowni imion tureckich. Aby nie być gołosłownym, już tu, na wstępie przytoczę jeden z wielu przykładów: imię własne *Ahmed* występuje w czterech postaciach: *Ahmed, Achmed, Achmet, Ahmet* <sup>3)</sup>.

1) „Przegląd Współczesny”, 1925, Nr. 34, Najnowsze publikacje polskie o Turcji, str. 9—10 os. odbitki.

2) „Przegląd Współczesny”, 1929, Nr. 85, str. 322.

3) Wł. Konopczyński, Polska a Turcja (1683—1792), Warszawa 1936. Str. 53, 73, 94, 107 i inne.

Dobrze się tedy stało, że Komisja, obradująca nad ustalaniem zasad ortografii polskiej, wciągnęła w orbitę swych zainteresowań także kwestję pisowni nazw tureckich, współpracując z orientalistami. Widowym znakiem tej współpracy mają być niniejsze uwagi.

\* \* \*

Ogólna zasada, jaką należałoby przyjąć, da się łatwo streścić i ustalić: imiona własne, tytułatury, nazwy geograficzne tureckie etc. piszemy tak, jak one brzmią w literackim języku tureckim<sup>4)</sup>. Wobec wprowadzenia w latach ostatnich w Turcji alfabetu łacińskiego, możnaby wysunąć postulat zachowania oryginalnej pisowni tureckiej, oddającej naogół dość wiernie obraz fonetyczny. Na przeszkodzie jednak musiałyby stanąć trudności natury technicznej. Turcy, jak wiadomo, adoptując alfabet łaciński, dostosowali go do swych potrzeb językowych, wprowadzając doń szereg nowych znaków:  $\zeta$  (= cz),  $\check{g}$  (= gh lub j),  $\iota$  (i bez kropki = y),  $\xi$  (= sz) etc. Ponadto wiele znaków, będących w użyciu w pisowni polskiej, w alfabecie tureckim ma inną wartość fonetyczną, np.: c (= dź), j (= ź), y (= j) etc., a więc nazwę miasta *Bilecik* należy czytać *Biledzik* (a nie „bilecik”).

Sprawę zatem pisowni imion tureckich możnaby uprościć, sprowadzając ją do kwestji spolszczenia odnośnych znaków. Tu jednak wchodzi w grę szereg szczegółów natury fonetycznej i ortograficznej. Najłatwiej może da się je omówić, zwracając uwagę na dotychczasowe błędy i przytaczając wskazówki na przyszłość.

#### A) Samogłoski:

Literacki język turecki rozróżnia 8 samogłosek: a, e, i, y ( $\iota$ ), o, ö, u, ü. Po samogłoskach tylnego szeregu (a, y, o, u) w wyrazach tureckich występuje y, nie zaś i, należy więc pisać *Kapydzy-baszy* (a nie jak błędnie pisze Konopczyński: *Kapidzi-baszi*)<sup>5)</sup>, *Bazardzyk* (zam. błędnej formy *Bazardzik*), ale *Biledzik* etc.

Samogłoski wargowe przedniego szeregu ö, ü pozostają bez zmiany: *Köprüli* (zam. *Köpruli*), *Demür-Tasz* (Kon. 70 *Demiur*).

#### B) Dwugłoski:

Dwugłoski aj, ej etc., oraz aw, etc. piszemy przez j i w, w przeciwieństwie do dwuzgłoskowych: a-i, e-i, a-u etc. Np. *Kajnardża* (Kon. 53 bł.: *Kainardzi*), lecz *Ismail*, *tain* („diety”), a nawet *kajmakam*, chociaż pochodzi to pierwotnie z arab. *qa'im maqam* (Kon. 42 *kajmakam* lecz obok 125: *kaimakam*).

<sup>4)</sup> Por. „Przegląd Współczesny”, Nr. 34 z r. 1935, str. 9 odb. rec. T. Kowalskiego.

<sup>5)</sup> Przykłady poniżej przytoczone (zawarte w nawiasie) pochodzą głównie z książki prof. Konopczyńskiego „Polska a Turcja” (= Kon.). Liczby oznaczają stronę.

Podobnie piszemy: *Sulejman, Fejsullah, Girej*, lecz *reis, seid* (Kon. 48: *Seid Feisullah!*), *Husein* (a raczej — bo tak dziś wymawiają Turcy: *Husejin*).

Wreszcie: *Kawszan*, lecz *czausz-pasza*.

C) Spółgłoski:

1) Spiranty.

Język arabski, z którego sporo zapożyczeń przedostało się do tureckiego, rozróżnia trzy rodzaje *h*: krtaniowe, gardłowe oraz wiązadłowe. Dzisiejsza pisownia turecka wprowadza tylko jedno *h*, co naogół odpowiada dzisiejszej wymowie w tureckim. Niema zatem potrzeby, abyśmy odróżniali w wyrazach tureckich *h, ch* lub zgoła *kh*! Należy zatem pisać: *Ahmed, Mehmed, Mahmud, Lehistan muharebesi, Hasan, Hadży, Hodża, Ibrahim, Kahraman* etc.

*S* piszemy także w pozycji międzywokalicznej na oznaczenie spółgłoski bezdźwięcznej: *Hasan, Husein, Jusuf, Kyrk Kilise, Brusa* etc. (Kon. pod wpływem pisowni niemieckiej: *Hassan, Hussein, Jussuf, Kirk Kilisse* etc.).

Dźwięczne *z* piszemy także przed samogłoską: *Zulfikar* (Kon. 17: *Sulfikar!*).

2) Zwarte: *d i t*.

W wygłosie imienia tureckiego należy odróżniać pierwotne dźwięczne *d* od bezdźwięcznego *t*. Piszemy więc: *Ahmed, Mehmed, Mohammed, Mahmud, Maksud, Murad*, lecz *Azamet, Dewlet, Inajet, Selamet* etc.

Zwartoszczelinowej głoski *dż* nie należy oddawać zapomocą *dj* lub *dsch*! Poprawna pisownia: *Amudża-zade* (Kon. 48: *Amudsza*), *Biledżik* (a nie *Biledjik!*).

3) Półotwarte: płynne *ł*.

Język turecki rozróżnia *ł* od palatalnego *l*. *ł* występuje tylko w otoczeniu samogłosek tylnego szeregu: *Arslan Girej, Kapłan Girej, Baltadży, Kyzlar agasy* etc. (Kon. 75: *Kaplan*, 65: *Baltadzi*, 97: *Kizlar*).

Powyższe ogólne uwagi mają służyć jako drobny tylko przyczynek do ważnej kwestji ustalenia pisowni nazw wschodnich i uregulowania tem samym jednej ze stron naszych stosunków ze światem Wschodu, pod tak wieloma względami dla nas ważnych.

Ananjasz Zajączkowski

## W SPRAWIE RUSYCYZMÓW

W grudniowym zeszycie „Języka Polskiego” drukuje prof. M. T. Huber swoje wątpliwości co do kilku terminów technicznych, ustalonych przez Komisję Językową Ministerstwa Komunikacji, której w formie dość oględnej, niemniej jednak wyraźnej, zarzuca wprowadzanie rusycyzmów do imiennictwa technicznego. Z rzezoną Komisją styczności nie mam; ponieważ jednak inna komisja

słownicza, z którą pracuję bezmała od lat czterdziestu, zatrzymała się na tych samych terminach, a więc i w nią godzą zarzuty, czuję się w obowiązku zabrać głos, bo uważam, że ludziom, obdarzonym zaufaniem czy to towarzystw technicznych, czy nawet urzędów państwowych, bardziej krzywdzących zarzutów od barbaryzowania mowy uczynić nie można.

Do dwu tylko przykładów się ograniczę: Prof. Huberowi nie podoba się czasownik *nagrzać* i imiesłów *odpęzły* (szyna odpęzła), uważa je za rusycyzmy. Jakież są argumenty sz. Profesora? Czytamy: „powszechnie znane są wyrazy *ochładzać*, *oziębiać*, ...*ogrzewać* i t. d. Dlaczego nikt nie proponuje zamiast tego: *nachładzać*, *naziębiać*?...” To argument? — więc jeżeli niema np. w języku wyrazu *zaczuwać*, to mamy wyrzucić ze słowników *zaspąć*?

Krótko mówiąc, według prof. H. *nagrzewać* „wtargnęło niepostrzeżenie” do naszej mowy dlatego, że po rosyjsku się mówi *nagriewat'*; — co powiedzą Strykowski, Górniccy, złapani przez prof. H. na herezji po paru wiekach! Coprawda sz. Profesor „nie przeczy, że i wyraz *nagrzewać* odpowiada duchowi języka polskiego, ale należy go stosować tylko w szczególnych znaczeniach”. Jakie to mają być te „szczególne znaczenia” i dlaczego ten kwestjonowany przez autora wypadek nie ma być zaliczony do szczególnych, nie dowiadujemy się z artykułu; a szkoda, bo to jest w danym wypadku rozstrzygającą przeciw rzecz. Zresztą, czytamy, że po pewnym wyjaśnieniu prof. Szobera „poddął się” szan. Oponent opinji, że w *nagrzewaniu* nie należy upatrywać rusycyzmu, — cóż, kiedy podnosi jego wątpliwości sama Redakcja J. P. uwagą, że choć *nagrzewanie* „nie jest sprzeczne z polskiem poczuciem językowym, ale w danych okolicznościach niepodobna zaprzeczyć możliwości wpływu rosyjskiego”. Co to są za „dane okoliczności”, i tu, jak tam, nie powiedziano; tem bardziej szkoda: ciekawą rzeczą byłoby się dowiedzieć, czem te okoliczności różnią się od jakichś innych, i jakie to są te inne? Bez sprecyzowania myśli będzie to tak samo nic nie mówiący zwrot polemiczny, jak powyższe „szczególne znaczenia” p. Hubera.

O czasowniku zwrotnym *nagrzewać się*, tak częstym w technice, nic prof. Huber nie wspomina; snadź ten nie budzi już w nim zastrzeżeń, — i słusznie, boć jakże? — piec *ogrzewa* izbę, ale sam *się* przeciw *nagrzewa*; dusza w żelazku po *ogrzaniu* jej w ogniu *nagrzewa się*; maszyna w biegu, naprzód *się rozgrzewa*, potem *nagrzewa*, wkońcu *przegrzewa* — przedziwny instrument cieniowania stanów, — miałyżby to być wszystko „rusycyzmy”?

Gorszy się dalej p. prof. Huber terminem *odpęzłe* (szyny), a to głównie dlatego, że nie znalazł takiego wyrazu, ani odpowiedniego mu czasownika, w słownikach. Znow ciekawy argument, bo np. *dopełznąć* jest. Więc *dopełznąć* to polski wyraz, ale *odpęznąć* — nie? Przytoczone kryterjum słownikowe argumentem, niestety, żadnym nie jest: w pierwszym suplemencie słownika wyraz

*odpełzły* po uchwaleniu go przez Komisję niezawodnie się znajdzie. Skoro tedy *odpełznąć* jest wyrazem polskim, to forma *odpełzły* nie będzie bynajmniej żadnym — „ukutym na wzór *odpadły* nowotworem”, tylko najformalniejszym czynnym imiesłowem czasu przeszłego, tem właśnie, o co nam w danym przypadku idzie, — będzie wyrazem tak samo dobrym, jak dobre są *napelzłe* chmury, *wypelzłe* dywany, *spelzłe* nadzieje, *rozpelzłe* liszki. Że imiesłów był dotychczas rzadki, to w terminologii może być nawet jego zaletą, bo ta — jak wiadomo — nowszych wyrazów (byle tylko dobrych!) nie lęka się zupełnie: lepsze są one nieraz od niektórych wytartych jak szare groszaki wyrazów wieloznacznych. Ale ba, sz. Profesor znalazł w języku rosyjskim wyraz *otpołznuť*, — cóż łatwiejszego, jak strzelić nim w rzeczony „rusycyzm”?

Stanowisko zgoła nieuzasadnione: barbaryzmem w języku jest to, co bezkrytycznie (można nawet powiedzieć: nieświadomie) czerpie się z obcego języka bądź w słowozbiorze, bądź w składni; ale gdy kto, operując elementami własnego języka, zbliży się przypadkiem do formy języka obcego (zwłaszcza zbliżonego szczepowo), to w tem żadnego barbaryzmu niema: wolno Rosjanom rozporządzać swoim materiałem językowym, wolno i nam — naszym; jeżeli do jednego dochodzimy wniosku, to znaczy, że obie strony wnioskowały logicznie. A wyrzekać się dobrego wyrazu tylko dlatego, że ktoś inny go używa, byłoby lękiem przed własną mową, niedocenianiem jej możliwości! Może tu zresztą uspokoi ludzi lękliwych okoliczność, że autorem „odpełzłych szyn” jest, jak się dowiaduję, rodowity krakowianin, bynajmniej nie — znieczulony na rusycyzmy b. królewiak. Niestety, i na to przygotowała sz. Redakcja J. P. wyjście: „szyny odpełzłe — to wyrażenie dla Polaka bardzo dziwne..., możliwe, że wzięte z rosyjskiego; pewnemby to było, gdyby się okazało, że tej właśnie przerośni używa się po rosyjsku”.

Na tle tej dyskusji — parę wyrazów ogólniejszych: dziwne jest u nas zamiłowanie do polowania na barbaryzmy, polegającego na międzydzielnicowym zarzucaniu sobie wzajem — tam, gdzie potrzeba i nie potrzeba — wpływów b. zaborców na język. Tu np. z racji listu prof. Hubera — zupełnie tedy okolicznościowo — dostało się od Redakcji J. P. znów Warszawie: wytknięto jej całą górę stokroć już przez nią samą potępionych rusycyzmów, niemających zresztą naogół związku z omawianym przedmiotem; mamże odpowiedzieć podobną górą germanizmów innych dzielnic? Metoda „bijesz mojego żyda, ja biję twojego” — tu chyba ani wytworną, ani pedagogiczną nie jest. W rozbiór tedy wspomnianych dalszych zarzutów ogólnego charakteru nie wdaję się, bo nie należą do rzeczy; sprostować tylko muszę jeden szczegół, dotyczący ś. p. prof. Kryńskiego. W artykule powiedziano, że nawet ucho Kryńskiego było tak mało czułe na rusycyzmy, iż nie raz i go wcale, przeciwstawne *a* zamiast *lecz*.



Wniosek niezgodny z rzeczywistością: cytuję tu wyjątek z listu ś. p. Profesora do mnie, z dn. 27.XI.1926 (list do dyspozycji):

„Przepis unikania w dzisiejszym języku literackim spójnika *a* w znaczeniu przeciwstawnym = *lecz*, ma swoje źródło w przesadnej ostrożności, by nie popełnić rusycyzmu. Użycie *a* w bardzo wielu razach jest tak właściwe i dobre, jak spójnika *lecz*. Że posługiwanie się nim jest zgodne z naturą polszczyzny, a nie jest naleciałością obcą, dowodzi używanie go powszechne w mowie ludowej wszystkich okolic kraju”.

Zdanie to może być słuszne, albo niesłuszne, — dowodzi wszelako niezbicie, że prof. Kryńskiemu w danym wypadku bynajmniej nie można zarzucić bezkrytycznej niewrażliwości na ten rusycyzm (więc może i na inne?...): rozważywszy *za* i *przeciw*, przyszedł do takiego wniosku.

Wartoby, sędzę, takie zarzuty barbaryzowania mowy nieco segregować: bezkrytyczny jakiś dziennikarz nieświadomie może popełniać i popełnia rusycyzmy, — ale gdy się mówi o specjalnych komisjach terminologicznych, pracujących dziesiątki lat, przesiewających każdy wyraz przez kilkanaście sit, komentując go nieraz po wielekroć z różnymi znawcami, — tam w zarzutach wypadaloby zachować nieco ostrożności. Znane mi komisje terminologiczne w b. Królestwie rozpatrują przede wszystkim każdy termin z punktu widzenia jego rodzimości i niezależności od wpływów zaborców; w składzie osobowym mają zazwyczaj i żywioty z innych dzielnic, bo na to umyślnie się baczy. I im właśnie rzuć w twarz, że wprowadzają do języka fachowego siew obcy, — to jest jednak trochę ryzykowne. Tu dowieść trzeba, a nie szachować niewyraźnemi „możliwościami wpływu rosyjskiego”; inaczej, podrywa się wiarę świata technicznego w pożytek tak często bezinteresownej pracy komisyj, pracy dziesiątków nieraz lat! Tem gorzej, gdy robi się to bezzasadnie.

Jan Rzewnicki

## ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI

92. Posadził przed sobą czy przed siebie? (J. T., Michałówka)

(Rz) Oba zwroty dobre z pewnym odcieniem w znaczeniu, — to samo, co *położył na stole* i *położył na stół* (porówn. rocznik 1932, str. 141). Pierwszy sposób określa tylko *miejsce*, drugi, żywszy, kładzie nacisk na *kierunek* wykonanej czynności. (Mutatis mutandis, bo w mniejszej daleko skali, jest to to samo, co *stał przed domem* i *wybiegł przed dom*; tu oczywiście jest to wyraźniejsze, bo cieniuje rzecz różne czasowniki, ale jeżeli wyrazu *posadził* użyjemy w znaczeniu *przesadził*, sprawa będzie wyraźna i tu: *posadził przed sobą* | *przesadził przed siebie*.

93. Przyjmować na zawód maszynisty — czy dobrze?  
(93/114, P., Zduńska Wola)
- (Rz) Nie, — na *stanowisko, posadę, miejsce*.
94. Stać w pamięci — czy można?
- (Rz) Owszem, — *dzień ten stale mi stoi w pamięci*; nie można tylko użyć bezosobowo: *stoi mi w pamięci, że...*
95. Spiew ten wyszedł dobrze. Czy wyszedł jest właściwe?
- (Rz) Najzupełniej; takie *wyjść* znaczy *wypaść, udać się, sprawić efekt*.
96. Przyszedł zawczas (= wcześniej), — dobrze?
- (Rz) Nie. Mamy tylko *za wcześnie = zbyt wcześnie* i *zawczasu = póki czas, zgóry, naprzód*.
97. W dniu imienin, w dzień imienin, — różnica?
- (Rz) Na cieniowanie takie trudno ustalać formułki: jak się co utrże. Życzenia składamy np. *w dniu imienin*, ale powiemy znów *wygrał na loterji w dzień imienin* (szczególnie: *w sam dzień imienin*).
98. Obijać się z jednego brzegu o drugi, — czy dobra składnia?
- (Rz) Właściwie z *obijać się* wiąże się tylko ten „drugi” *brzeg*: obijać się o co; „pierwszy” jest tu niezależny; najlepiej go chyba związać z *od* przez analogję z *kołysać się od brzegu do brzegu*; wystarczy jednak zupełnie: *obijać się o brzegi*.
99. Schował go otwartego (nóż) do kieszeni — chyba źle?
- (Rz) Oczywiście, źle; *otwarty* jest tu biernikiem związanym z rzeczownikiem nieżywotnym i do niego się musi stosować; *schował go otwarty*.
100. Nie odstąpiłem swego czy od swego?
- (Rz) Czasownik ten w tem znaczeniu dawniej wiązano częściej z dopełniaczem, dziś dajemy mu raczej konstrukcję przyimkową z *od*. Nie odstąpić *od swego* — lepiej.
101. Uczynić zakupy — dobry zwrot?
- (Rz) Dobry, ale może zbyt pretensjonalny; mówi się zazwyczaj *robić zakupy*.
102. Gardelek czy gardziełek?
- (Rz) Właściwą formą zdrobniąłą jest *gardziołko*, a więc *gardziołek*; ale to tylko u istot żywych; w naczyniach np. o miejscach zwężonych mówiłoby się *gardelka*.
103. Wyleciał z siodła pod zręcznym atakiem — czy dobrze?
- (Rz) Można *paść pod uderzeniem*, to możnaby i *wylecieć pod atakiem*, ale lepiej może *skutkiem ataku, w ataku*. Konstrukcja z *pod* ma tę dobrą

stronę, że usuwa wątpliwość, kto atakuje: czy ten, co wyleciał, czy jego przeciwnik.

104. Czuć miłość dla kogo — dobrze?

(Rz) Nie; *miłość do kogo*, ale np. *szacunek dla kogo*.

105. Tysiące ludzi idzie na bój — dlaczego?

(Rz) *Tysiące ludzi* — to tutaj omówienie nieokreślonego liczebnika *wiele, bardzo wiele* — i od niego przejmują rząd; można, oczywiście, dostosować liczbę czasownika i do rzeczowników, a więc: *tysiące idą*.

106. Czy przymiotnik podróżniczy to to samo, co podróźny?

(Rz) Prawie, że tak, bo większość przedmiotów może mieć związek i z *podróżką*, i z *podróżnikiem*, np. *sprzęt podróźny* lub *podróżniczy*. Gdybyśmy jednak chcieli odnieść coś wyraźnie do podróźnika (np. *marzenia, notatki*), to wtedy przymiotnik brzmiałby *podróżniczy*.

107. Łokietek, wyponiewierawszy się po jaskiniach, — czy dobrze?

(Rz) Niezręcznie; lepiej: *wyniszczywszy się...*

108. W ten sposób, w jaki, czy jaki?

(Rz) Niewyraźne zapytanie. Mogę powiedzieć *w ten sposób, w jaki rzecz załatwiono...*, ale również mogę: *w ten sposób, jaki zastosowano...*

109. Nie długo spada, lecz krótko — razem czy osobno? A kiedy razem?

(Rz) Tu osobno, bo to są dwa różne przysłówki obok siebie. *Niedługo przyjadę* — razem, bo to jeden przysłówek przeczący = *prędko*.

110. Dlaczego biernik jest panią?

(Rz) Dlaczego, trudno powiedzieć, dość, że dziś jedyny on zatrzymał *-ą*. Nie tak zresztą dawno wszystkie np. rzeczowniki typu *akcja* miały też końcówkę *-ą*.

111. Skamlanie, skomlenie, skamlenie — które dobre?

(Rz) Czasownik dźwiękonaśladowczy i, jako taki, niedokładnie uchwytny, nieustalony: *skamlać, skamlać, skomleć, skomlić, skamleć*; w Warszawie bodaj że najczęstszą jest forma *skomleć*.

112. Służyć w / przy wojsku — w / przy ułanach — na / przy kolei, pracować na / przy budowie, — co właściwsze?

(Rz) *Służyć w wojsku, w ułanach, na kolei*; *pracować przy budowie i na budowie*; *przy* — to *pracować w przedsiębiorstwie budowlanem*, *na* — to *znajdować się w danej chwili na terenie pracy*. Co właściwsze? — to kwestja gustu; dla mnie te właśnie zwroty, inni bronią możliwości tych drugich. W każdym razie *przy wojsku* jest z pochodzenia germanizmem: *bei Militär*.

113. Dezertyr, dezyrter, dezarter?

(Rz) Literacką formą jest tylko *dezarter*.

114. Pozwolenstwo — czy wyraz właściwy?

(Rz) Nie, — jest to forma nieliteracka, ludowa.

115. Rozpowszechnia się zwyczaj nazywania fotografii *fotosami*. Czy Panowie uznają takie kaleczenie wyrazów? (A. B., Warszawa)

(Rz) Gdybyśmy mogli tego ze skutkiem nie uznać! Ale co to pomoże? Zagnani „działacze”, którzy paplaninę swą na obcych kształtują wzorach, nie ustają w pracy, a dziennikarze im sekundują. Zrobili już *kino, auto, radjo, dynamo, metro, magneto, kilo*, dobrali się teraz do *foto*, rzucą się z kolei na *fono*, może *tele* i t. d. Część tych wynalazków już się przyjęła i nie razi, ale nie można stale tak dalej iść. Tu np.—w *fotosie*—nie rozumiejąc, że to *s* końcowe jest w językach obcych symbolem liczby mnogiej, tworzą sobie odmieniany już rodzaj męski l. poj. *fotos* (jak już przedtem zrobiono z *Eskimosami, Indusami, Somalisami, Zulusami* i t. d.) — i gotowe! Język francuski, który tu jest natchnieniem, używa takich skrótów, ale ponieważ jest językiem bezfleksyjnym, ma w tym kierunku swobodę. Inaczej u nas. Ale na tle powszechnego niemal w Polsce nieszanowania własnego języka wyrośnie jeszcze niejedno, — postarają się już o to gazety. Zaznaczyć tu wypada, że *fotografja*, jako przedmiot, jako obrazek, nie była niegdyś szczęśliwym wynalazkiem językowym; nadawała się raczej do nazwy nauki, z konieczności dzisiaj *fotografiką* zwanej; komu więc wadzi ten wyraz, niech mówi o *zdjęciach*; wyraz własny i poręczny, a w każdym razie o nieba lepszy od niezrozumianego, kulawego, obcego *fotosu*.

116. Upoważniam żonę moją do podniesienia tej sumy. Powinno być właściwie swoją, a dla czego brzmiałoby to — mojem zdaniem — dziwnie? (A. L., Białystok)

(Rz) Gra tu rolę zapewne bezpośredniość i dążenie do ścisłości w zdaniu bądź co bądź o charakterze dokumentu, bo jeżeli się mówi zwykle, potocznie np. *upoważniłem do tego córkę*, to już raczej powiemy *swoją* niż *moją*; inna rzecz, że w tym wypadku wogóle zaimiek niepotrzebny. Może tu być zresztą wpływ liczby mnogiej, gdzie z powodów, objaśnionych w roczniku 1933 na str. 120 piszemy np. *upoważniamy naszego kasjera* (nie: *swojego*) do podniesienia...

117. „Dano mi plan majątku z *legendą*” — co to jest? (G. F., Warszawa)

(Rz) Napis *legenda* na planach, rysunkach, jest to liczba mnoga imiesłowu łacińskiego, który tu znaczy: *należy to czytać*, czyli znaczy poprostu

*objaśnienia* (znaków czy skrótów), — nic to tedy znaczeniowo wspólnego z *legendą* — mitem nie ma.

118. Czy dobrze: znaleziono **trup** mężczyzny? (A. C., Końskie)

(Rz) Nie; choć to nieżywotne, formuje biernik *trupa*; skła<sup>1</sup>niej jest powiedzieć *zwłoki*.

119. Słyszę właśnie ze sceny: **wszystka** Europa. Czy to tak się mówi?  
(119/120, O-ski, Warszawa)

(Rz) Dzisiaj mówimy *cała Europa, cały świat; wszystek* zachowały tylko imiona materialne, np. *wszystko żyto, wszystka mąka, wszystek cukier*. Dawniej *wszystek* miało daleko większy zasięg: *wszystek świat, wszystek naród, wszystek dobytek*. Jeżeli więc idzie o utwór sceniczny, malujący dawniejszą epokę (tu zapewne o „Wielkiego Fryderyka”), to ze względu na koloryt zwrot będzie dobry. Naturalnie, nie są to kanony: wspomniany np. *dobytek* jest imieniem materialnym, a mimo to dzisiaj mówimy *cały dobytek*; zwyczaj utrwalił te lub inne połączenia i poczucie języka, nie gramatyka tu rozstrzyga. Nic dziwnego, że w takich warunkach i dwoistość form jest niekiedy uzasadniona; powiemy np. *wszystko siano zdążyliśmy zebrać, ale całe siano zabrała nam woda* (bo tu *siano* wiążemy jakgdyby w jednolitą całość, uważając je niejako za jeden obiekt, zabrany przez wodę).

120. Czy mają sens przymiotniki **wszechświatowy** związek, **wszechświatowa** marka samochodu?

(Rz) Tymczasem jeszcze nie mają; wystarczy *światowy*. Ale takich nielogiczności w języku jest dużo i gorszyć się tem nie należy: nietylko logika rozstrzyga w języku.

121. Widzę napisy na szyldach: **mąka** i **legominy**, choć żadnych legumin tam nie sprzedają. Co to właściwie za **legominy**? (A. S., Włocławek)

(Rz) Dawno, bardzo dawno u nas *jarzyny* właśnie tak nazywano; jest to l. mn. rzeczownika łacińskiego *legumen*. Skoro jednak praktyka językowa nazwę tę przesunęła na potrawę słodką, czas już i szyldy zreformować: *mąka* i *jarzyny*.

122. W miastach i miasteczkach Wileńszczyzny widnieją na sklepach napisy: sklep **bakalejny** lub spożywczo-**bakalejny**. Wyraz zły, — jakim go zastąpić? (S. H., Wileńskie)

(Rz) Wyraz arabski *bakkal*, przybyły do nas przez Ruś (Brückner), znaczył wogóle *przysmak, łakoć*. Na Rusi rozszerzył swe znaczenie na (suche) owoce i przyprawy zamorskie, jak rodzynki, migdały, cynamon i t. d.; u nas nie, bo myśmy te towary mieli z Zachodu i używaliśmy tamtejszej

nazwy *towary kolonialne*. Napis na sklepie powinien brzmieć: sklep *kolonialno-spożywczy* lub wprost *kolonialny* (nie: *spożywczo-kolonialny*, bo przymiotnik *spożywczy*, jako rodzajowy, główny, powinien zająć drugie miejsce). Nawiasem zaznaczę, że *bakalejny* i z formy jest rusycyzmem: po polsku brzmiećby mógł tylko *bakaljowy*.

## NOWE KSIĄŻKI

*Józef Sadło: Influences phonétiques françaises sur le langage des enfants polonais en France. Thèse pour le doctorat de l'Université présentée à la Faculté des Lettres de l'Université de Strasbourg. Paryż 1935, stron 152.*

Sprawa naszej emigracji we Francji należy do tych zagadnień społecznych, które żywym echem odbijają się w najszerszych warstwach całego społeczeństwa, wszelkie więc poważne zainteresowanie się naszym wychodźstwem budzić może tylko radość. Praca p. Sadły, w której podejmuje się on zbadać język dzieci polskich robotników we Francji, interesuje nas podwójnie — i jako Polaków i ze stanowiska historyczno-językowego. Odrębne bardzo warunki, w jakich dzieci polskie znalazły się we Francji: otoczenie, przedszkole i szkoła francuska, w której się uczą czytać i pisać po francusku, wywierają przemożny wpływ na ich język ojczysty. Dzieci mówią po polsku tylko w domu z rodzicami. Opis zmian, jakim w tych warunkach ulega ich język, mógłby być bardzo pouczający, gdyby był wykonany w inny sposób, niż to uczynił p. Sadło.

Pominiemy tu szczegółowe kwestje fonetyczne, w których zakresie wiele by się dało powiedzieć. Dla orientacji w tem, co daje książka p. Sadły, wystarczy przedstawić myśli podstawowe jego pracy. „Myśli podstawowe” jest zresztą tylko utartym zwrotem, w którym pierwszy wyraz nie bardzo w danym wypadku jest na miejscu.

Szczególnie fantastyczne są pomysły autora w tych ustępach pracy, w których mówi on o przyczynach, wywołujących różne zmiany w wymowie dzieci. Między innymi p. Sadło dostrzegł, że spółgłoski zwarte twarde *t*, *p* w wymowie dzieci polskich różnią się od odpowiednich głosek francuskich tem, że „stały się bardziej łagodne (*doux*); co do głosek *d*, *b* to są one mniej dźwięczne”. Tę właściwość tłumaczy autor w następujący sposób: „Tu stwierdzamy podłoże (substrat) starego wpływu germańskiego, który działał pośrednio na nasz język wskutek sąsiedztwa podczas przeszłych stuleci i pośrednio jako wynik imigracji niemieckich kolonistów do Polski w XII i XIII wieku” (str. 52). Łagodniejszej artykulacji spółgłosek *t*, *p* wpływem niemieckim zawdzięczać nie możemy, a mniejszej dźwięczności naogół nasze *b*, *d* w stosunku do francuskich nie wykazują, gdyż można dowieść doświadczalnie, że są w całym przebiegu dźwięczne. Zapewne miał autor do czynienia z dużą ilością dzieci, których ro-

dzice przywędrowali z Westfalji, o czym zresztą sam na innym miejscu wspomina. Ale jest śmiały i odrazu mówi ogólnie o „germańskim podłożu w języku polskim”.

Bardzo chętnie wtrąca p. Sadło dłuższe ustępy o historii rozwoju niektórych głosek w staropolszczyźnie, chociaż wcale się to z opisywanymi zagadnieniami nie wiąże, bez rozsądnego celu porównywa przyczyny, które wywołały zmiany głoskowe (Lautverschiebung) w językach germańskich, z przyczynami, powodującymi zmiany w języku dzieci polskich we Francji. Wszystko to ma zapewne świadczyć o odczytaniu i erudycji, w rzeczywistości zaś jest tylko chaotycznym wyładowywaniem wiadomości z fonetyki historycznej.

Najbardziej zdumiewającą jest „hipoteza” autora, według której opisywane przez niego zmiany głoskowe w języku dzieci polskich we Francji wywołane zostały — wpływem fonetyki łacińskiej na język staropolski. Po krótkim wyliczeniu zaobserwowanych w I roku swej pracy zmian artykulacyjnych autor tłumaczy: „mamy tu przed sobą podłoże fonetyczne polskie, z odziedziczonym ze średniowiecza wpływem łacińskim, który kontynuuje swe oddziaływanie przez bezpośredni kontakt dzieci polskich z francuskim nauczycielem” (str. 31 — 32); ba, nawet wszystkie zmiany głoskowe w języku dzieci są według autora całkowicie uzależnione od wpływów łaciny na staropolszczyznę: „bez podłoża łacińskiego w naszym języku (począwszy od XIV wieku i późniejszego wpływu francuskiego w XVIII wieku) szkoła współczesna nie mogłaby zostawić żadnych śladów fonetycznych w języku polskim. Rozwinąłby się później conajwyżej język mieszany, któryby szybko zanikł wskutek oddziaływania poprawnej wymowy polskiej” (str. 117 — 118). O głębio mądrości!

Rozwinięciem i uzasadnieniem tego niezwykłego pomysłu zajmuje się autor w II części pracy. Aby nadać większą wagę swoim wywodom przytacza p. Sadło za ks. Kulczyckim („Organizacja kościoła w Polsce przed XIII wiekiem”) statystykę dostojników kościelnych obcego pochodzenia (Francuzów, Włochów i Niemców) w Polsce z przed XIII wieku, mówi o nieograniczonej władzy kościoła w Polsce w tym okresie, o wpływie kleru na nasze życie społeczne i intelektualne i oczywiście na nasz język. Nauczanie łaciny „w świątyniach musiało z konieczności narzucać ludowi polskiemu system fonetyczny łaciński, obcy systemowi polskiemu” (str. 125). „Do połowy wieku XIV język łaciński wywierał w Polsce wpływ raczej fonetyczny, podczas gdy później wpływ ten dał się odczuć raczej w morfologii i składni” (str. 123). „Pierwsze tendencje fonetyczne łacińskie pojawiają się w języku polskim w drugiej połowie XIV wieku, trwają przez XV i XVI wiek, a nawet później jeszcze. Lecz od drugiej połowy XVI wieku nastąpił wzrost tendencji rodzimych, równocześnie zaś wpływ łacińskich tendencji fonetycznych zmniejszał się na korzyść tendencji morfologicznych i syntaktycznych” (str. 126).

Wprawdzie p. Sadło przyznaje, że zupełnie innego zdania w tej sprawie są tacy znawcy staropolszczyzny, jak Brückner i Łoś, ale poglądy Brücknera są według niego „nieco krańcowe” („un peu extrémistes”), Łoś zaś „zwróciwszy całą uwagę na alfabet łaciński, źle przystosowany do potrzeb języka polskiego, doszedł do wniosków zupełnie sprzecznych z naszymi” (t. j. z wnioskami p. Sadły) (str. 127).

Zmiany, jakim uległ system fonetyczny języka staropolskiego, niczem według autora nie różnią się od tych zmian, które zaobserwował on w mowie dzieci polskich we Francji. Dzieli więc je również na 3 etapy, przyznając jedynie, że w staropolskim poszczególne stadja trwały dłużej.

Jako namacalny dowód wystąpienia tych zmian przytacza dwie pierwsze strofy pieśni „Bogurodzica” w dwóch odpisach — jeden z XV, drugi z XVI wieku. Brak jakiegokolwiek znaku, wskazującego na miękkość spółgłosek *w* (w wyrazach *slawiena*, *czlowieczne*, napisanych w tekście z XV stulecia *slawena*, *czlowecze*) uważa autor za niezbity dowód, że Polacy w tym okresie zatracili pod wpływem łaciny miękkość dawnych wargowych miękkih i wymawiali je jako *v* (*f*, *p*, *b*, *m*) twarde.

Napisanie wyrazu *nosimy* jako *nosimi*, *świecie* jako *swecze*, *dziewica* jako *dzewicza* ma wskazywać na wymawianie spółgłosek *ś* (*ź*), *ć*, *ź* jako *sz*, *ż*, *cz* *dź* z następną jotą), a znów z napisania wyrazów *żywocie* *raczy* przez *sziwocze*, *raczi* wnioskuje p. Sadło, że spółgłoski dźwiękowe (*sz*), *ż*, *cz* (*dź*) były w owym czasie wymawiane jak (*szj*), *żj*, *czj* (*dźj*)<sup>1)</sup>, wreszcie brak w rozpatrywanym tekście litery *y* naprowadza autora na myśl, że odpowiadającą jej samogłoskę Polacy z wieku XV zatracili pod wpływem oczywistym łaciny.

Ponieważ zaś w tejże samej pieśni, zapisanej na początku XVI wieku, mamy już inną pisownię — *slawyona*, *szwyeczye*, *pobyth*, więc p. Sadło wysuwa wniosek, że dawne spółgłoski wargowe otrzymały z powrotem miękkość, samogłoska *y* znów wróciła na dawne miejsce, tylko *ś*, *ź*, *ć*, *j* pozostały nadal dźwiękowymi i stanowiły przez pewien czas jeszcze jeden szereg z dawnymi dźwiękownikami.

Całe to niezmiernie naiwne dowodzenie nie nadaje się do dyskusji. Ograniczę się tu tylko do postawienia kilku pytań autorowi.

1) Czy można przypuszczać, aby łacina średniowieczna owych duchownych pochodzenia francuskiego, włoskiego i niemieckiego miała tak jednolity charakter fonetyczny, aby mogła wywrzeć wyraźny wpływ na fonetykę innego żywego języka? Przecież dziś, mimo, że wiemy już znacznie więcej o fonetyce łaciny z okresu klasycznego, każdy wykształcony Europejczyk wymawia wyrazy łacińskie inaczej, stosując postawę artykulacyjną własnego języka.

<sup>1)</sup> Autor używa pisowni fonetycznej (zresztą nieco szczególnej), ale istota rzeczy pozostaje ta sama.



2) Czy możliwe jest, aby nawet parokrotnie większa od przytoczonych przez p. Sadłę ilość księży katolickich obcego pochodzenia — ludzi, którzy zupełnie nie znali i nie chcieli, jak sam autor zaznacza, nauczyć się mowy polskiej — mogła przez nabożeństwa kościelne i za pośrednictwem nielicznych szkół narzucić choćby na pewien czas całemu narodowi daleko idące zmiany fonetyczne?

3) I wreszcie ostatnie pytanie. Jeżeli autor z pisowni naszych zabytków potrafił wysnuć tak rewelacyjne wnioski, to iluż genialnych pomysłów dostarczyłaby przyszłym pokoleniom nasza dzisiejsza ustalona już pisownia, gdyby tak naprzykład obecnie obradujący Komitet Ortograficzny postanowił wprowadzić od chwili obecnej konsekwentną transkrypcję fonetyczną i zakazał całkowicie używania dzisiejszego sposobu oznaczania głosek! Coby też powiedzieli następcy p. Sadły o systemie fonetycznym języka polskiego z okresu poprzedzającego reformę pisowni? A mieliby pole do przypuszczeń ogromne; przecież spółgłoskę *ś* piszemy trzema różnymi sposobami w wyrazach *sień* (gdzie *si* = *ś*), *siny* (gdzie *s* = *ś*), *oś*, albo *ź* w *dzień*, *dziś*, *chodź*, samogłoskę *u* piszemy raz przez *u*, to znów przez *ó*; niekonsekwencyj z punktu widzenia fonetycznego niezliczona ilość!

Na marginesie muszę dodać, że autor, przytaczając dwie zwrotki „Bogurodzicy”, źle odczytał dwa wyrazy, mianowicie przyimek *dziela* „dla” jako *dziela* i wołacz *bożycze* jako *bożyszczce* (str. 137). Trudno przypuścić, abyśmy mieli tu do czynienia z przypadkowymi błędami francuskiego zecera.

Wniosek ogólny jest niestety ten, że autor przystąpił do dzieła nieprzygotowany naukowo, dał zapisy mowy nieudolne, objaśnienia niedokładne, a wnioski wysnuł fantastyczne. Czyż nie szkoda było „czasu i atlasu”?

Halina Koneczna

Swoją rozprawę poświęcił p. Sadło pamięci Baudouina de Courtenay. Nazwisko wielkiego uczonego samo się przed tym nietaktem broni, ale trudno nie wyrazić żalu, że przed zagranicznym *forum* stwarza się pozory kontynuowania taką książką takiej w językoznawstwie tradycji.

W. Doroszewski.

Jakób Handel: Dzieje językoznawstwa. Lwów, 1935. Nakł. Filomaty. Str. 265.

Ukazała się książka o charakterze popularno-naukowym, ujmująca w sposób bardzo przejrzysty i prosty najważniejsze wyniki, problemy, dążenia i cele badań językoznawczych, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek były podejmowane. Autor w szczupłym stosunkowo tomiku zdołał pomieścić mnóstwo faktów, scharakteryzować — choćby w kilku słowach — wiele kierunków, naszkicować sze-

reg różnorodnych sylwetek mniej lub więcej wybitnych twórców, czasem — genialnych pionierów tej najmłodszej gałęzi humanistyki. Książka napisana jest żywo i interesująco. Nawet wtedy, kiedy autor przytacza jakąś próbkę „trudniejszą” germańskiej „Lautverschiebung” lub wykaz zgodności indoeuropejsko-semickich, pamięta o zasadzie, żeby — nie nudzić, ucząc. To też niejednym szczegół, niejedną informacją może czytelnika zainteresować głębiej, ukazując mu ponętą krainę szerokich koncepcyj glottogonicznych (czyli dotyczących pochodzenia mowy), albo zawrotnych teoryj o pokrewieństwie wszystkich języków świata. Sugestywne oddziaływanie wzmagają jeszcze liczne podobizny badaczy różnych czasów i krajów, choć tu może wybór dokonany został nie wszędzie szczęśliwie, bo czasem znaleźli się mniejsi, a znakomitszych pominięto. Tak np. brak najwybitniejszego dziś językoznawcy francuskiego, Meillet’a a z polskich Brücknera, choć jest... Joachim Lelewel — znakomity... historyk.

Zawodowy językoznawca nie znajdzie tu nic nowego, ale skorzysta niewątpliwie na sumiennym i umiejętnym cytowaniu źródeł w tekście, jak również na rozplanowanym według działów zestawieniu bibliograficznym na początku książki. Dziełko Handla przydać się może studjującym — poprostu jako bibliografia rozumowana, ułatwiająca orientację zarówno na szerokim gościńcu wielkich zagadnień, jak również w nieprzebranym gąszczu drobnych kwestyj.

W rozwoju językoznawstwa — jakże szybkim — bo na dobrą sprawę datującym się od r. 1816, t. j. od wystąpienia Franciszka Boppa, który „odkrył” (równocześnie z Duńczykiem, Krystjanem Raskiem) pokrewieństwo języków indoeuropejskich, zaznaczył się zaraz od początku niesłychany rozmach i dalekość koncepcyj. Już sam Bopp, urzeczony zgodnościami tak odległych języków, jak sanskryt a np. łacina czy niemiecki, próbował wykazać pokrewieństwo języków indoeuropejskich z kaukaskimi, ba, nawet malajsko-poli-nezyjskimi! Najdalej w dobie współczesnej poszedł zmarły niedawno włoski lingwista, Trombetti, który usiłował wykazać w sposób naukowy jeden wspólny początek wszystkich języków kuli ziemskiej<sup>1)</sup>. Ten rozmach twórczy znalazł w książce Handla doskonałe odbicie, a mimo to autor nie stracił z przed oczu właściwej proporcji przy charakterystyce poszczególnych epok: starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej. Może zbyt silnie została uwypuklona epoka klasyczna grecka w porównaniu ze średniowieczem (brak np. wzmianki o św. Augustynie), ale też jej znaczenie dla czasów nowszych jest ogromne — nietyle z powodu słynnego sporu: θεσσαλ czy φούσαλ (to zn. czy język jest wynikiem

<sup>1)</sup> Nawiasem mówiąc, hipoteza monogenezy języków staje się dość „modna”. Ostatnio wyszła na ten temat obszerna książka o zakroju filozoficzno-teologicznym, A. Wadlera p. t. „Der Turm von Babel. Urgemeinschaft der Sprachen”, Basel, 1935.

naturalnych skłonności ludzkich, czy też wytworem umownym) — ile z tego względu, że Grecy, a głównie Arystoteles, położyli podwaliny pod nowoczesną gramatykę przez ustalenie kategorii formalnych: części mowy, przypadków, rodzaju i t. d. Poza to oni to właśnie (a po nich Rzymianie) zapoczątkowali badanie składni, podobnie, jak uczeni indyjscy drobiazgową i niezwykle wnikliwą analizą sposobów artykułowania głosek swego języka zainaugurowali rozwój nowoczesnej fonetyki.

Jak wygląda nasz udział w ogólnym dorobku lingwistycznym? — zapytamy wreszcie. Zgóry trzeba powiedzieć — i to nie pod adresem lingwisty p. Handla, ale filologa klasycznego, prof. R. Ganszyńca, autora rozdziału *Językoznawstwo w Polsce* (str. 213—258), że charakterystyka wypadła nieco jednostronnie, a nawet niesmacznie. Twierdzenie, że „nauka polska rozwija tylko myśli importowane i to nawet tam, gdzie Polacy celują, w slawistyce... i polonistyce”, że przeszczepiamy na swój grunt wyłącznie wyniki nauki niemieckiej, jest niesprawiedliwe i poniżające. Przecież taki Baudouin de Courtenay całe życie bardzo ostro przeciwstawiał się dogmatom „młodogramatyków”, a zwłaszcza wtedy, kiedy uchodziły one za niewzruszone. Jego poglądy były całkowicie niezależne, bojowe nawet, i w swoim czasie stanowiły zupełną nowość — wystarczy choćby wymienić teorię „alternacyj fonetycznych”, albo kierunek psychologiczny w ujmowaniu zjawisk językowych, który właśnie zagranicą znalazł naśladowców. Podobnie nowych dróg próbował Rozwadowski, zajmując stanowisko krytyczne wobec teorii Wundta. Zresztą językoznawstwo nasze szukało także zbliżenia z myślą francuską (np. z nieżyjących Gawroński) i ten kontakt jeszcze się dziś pogłębia.

Charakterystyki naszych badaczy, ujmowane bardzo lakonicznie (poza jednym Baudouinem), grzeszą zbytnim subiektywizmem. Nie rozumiemy, dlaczego został pominięty prof. Brückner. Pomijamy inne, na osobistych sympatiach autora oparte, sądy, np. o stosunku „szkoły krakowskiej do lwowskiej czy warszawskiej” (str. 244).

Chciałbym tylko jeszcze zwrócić uwagę na jedną kwestję — dzisiaj szczególnie aktualną — na ortografję, do której zastosowania p. Handel zapewne był zmuszony: ortografja ta nic sobie nie robi z tego, że obowiązują pod tym względem pewne zasady. W książce czytamy: *skeptycznie, syntheza, semasiologia, koryphaiów* = koryfeuszy, *gymnasium, stipendium, Babylończycy*. Ostatecznie może to uchodzić na łamach klasycznym rzeczom poświęconego „Filomaty” (trzebaby już *Philomathy*), ale nie w wydawnictwie ogólnem, tembardziej, że w ten sposób można tylko obniżyć atrakcyjność dziełka, którego zadaniem jest przecież popularyzacja wyników nauki.

Henryk Friedrich

## POKŁOSIE

## Broszura popularna.

„Poradnik” od wielu lat zamieszcza na tem miejscu wycinki i cytaty z najbardziej „sławnych” pod względem językowym książek i czasopism. Jest to jeden z odcinków walki o podniesienie poziomu stylu i języka w słowie drukowanym, walki o usunięcie karygodnego zaniedbania i lekceważenia czystości i poprawności polszczyzny. Może wreszcie obudzi przeświadczenie w czytelnikach, że sytuacja jest poważna i że tylko energiczna i celowa walka, podjęta z tym stanem rzeczy przez wszystkie pisma, którym nie obca jest troska o nasz język, zmusi wydawców do staranniejszego doboru utworów, przez siebie drukowanych.

Wydawnictwa t. zw. popularno-naukowe winny, chyba w szczególności zasługiwać na wiarę, że ich pożyteczna treść idzie w parze z pewnym, odpowiednim poziomem stylu i języka. Ale i tu spotyka nas rozczarowanie.

W posiadaniu redakcji znajduje się broszura „popularna”, poświęcona higienie jamy ustnej oraz zapobieganiu chorobom uzębienia<sup>1)</sup>. Fachowa ta książeczka, wydana staraniem Związku Lekarzy Dentystów, nigdyby prawdopodobnie nie doszła do wiadomości czytelników tą drogą, gdyby nie jej piękny i nader popularny styl. Naprzykład:

„Oдноśnie rozwoju szczęk u dzieci należy zwrócić uwagę na podstawową różnicę pomiędzy dziećmi karmionymi piersią, a flaszką” (str. 7). „Oдноśnie rozwoju” — to bardzo brzydko, a pozatem pozwolimy sobie zauważyć, że zdanie to jest najzupełniej zbyteczne, bo nawet najbardziej nierozgarnięty osobnik zauważy odrazu różnicę pomiędzy dzieckiem a flaszką. W całkowitej zgodzie ze staraniem autora o jasność definicji pozostaje takie np. określenie pierwszego zęba stałego, który „...nazywać... będziemy szóstką, gdyż od linii środkowej, dzielącej szczękę, jeśli policzymy zęby dziecka od centralnego siekacza począwszy, będzie ten ząb z kolei zębem szóstym” (str. 10).

Dalej:

„Do zęba dostają się te nerwy i naczynia poprzez otwór wierzchołkowy zęba do korzeni, rozgałęziając się w komorze zębowej w miążgę koronową” (str. 18).

„Każdy ząb zoddzielna został zbadany, skontrolowano dotychczasowe wypełnienia i korony oraz poddano badaniom używane przez nich szczotki, pasty i t. p.” (str. 20). Przez kogo?

— — „nagryzanie na wciągniętą do ust dolną wargę jest niedopuszczal-

1) Lekarz dentysta, Stanisław Bloch. Ratujmy zęby. Broszura popularna, poświęcona higienie jamy ustnej oraz zapobieganiu chorobom uzębienia. Warszawa 1935, str. 70.

ne..." (str. 25). „Nagryzanie na wargę” jest przede wszystkim językowo niedopuszczalne.

„Po ukończonym drugim roku życia dziecko przyzwyczajając należy do samodzielnego czyszczenia zębów, trzeba je pouczyć, jak pięknie wyglądają zęby czyste, że tylko zęby dobrze oczyszczone mogą znieść słodycze” (str. 25).

„Odnosnie (p. wyżej) słodyczy, nie można przecież ich dziecku odmówić, przyzwyczać jednocześnie po zjedzeniu słodyczy do spożycia czegoś takiego, co mechanicznie zęby oczyszcza, np. jabłka” (str. 26).

Tu już zdanie zgoła osobliwie pogmatwane.

„By szczęki nasze były mocne i zdrowe, jak również, by uodpornić zęby od próchnicy, należy mocno zębami żuć” (str. 32). Przypomina to lichey przykład z jakiegoś mniej znanego języka.

„Szczęki dziecka, dotkniętego tem schorzeniem, formują się nieprawidłowo, przybierają formę nienormalnego łuku, a tworzą kanciastego, przyczem kąty te tworzą się przy kłach i t. d.” (str. 47). Jesteśmy już zdecydowanie zniechęceni do dalszej lektury.

Podkreślmy, że przytoczone wyżej przykłady są tylko jaskrawszymi dowodami talentu autora, cały zaś tekst, pełen jakiegoś dziwnego szyku wyrazów i zdań, najbardziej nieoczekiwanych zwrotów, niepokoi i denerwuje.

Jesteśmy wyrozumiali, domyślamy się, że autor, może imponujący fachowiec, prawdopodobnie niechętnie i niewiele się porał z wiadomościami gramatycznymi i stylistycznymi w wieku do tego odpowiednim i w zakresie wskazanym przez różne przepisy i programy szkolne; wierzymy, że studja fachowe i praca zawodowa zabiera dużo czasu; że „parodontoza” jest ważniejsza od różnych wymyślonych kłopotów językowych i stylowych — ale...

Broszura ta ma być popularna, to znaczy ma dotrzeć do najszerszych warstw społeczeństwa, ma je pouczyć o ważności i celowości higieny ust. Zadanie piękne i szlachetne. Obawiamy się jednak, że wdzięczni czytelnicy, zbyt przejęci treścią i formą dzieła p. Blocha, starannie wypielęgnowanymi ustami wypowiadać zaczną niechlujstwa, których ich autor pouczył.

*Wiktor Godziszewski*

## CO PISZĄ O JĘZYKU?

Dyskusja, która się toczyła 7.I. b. r. na zebraniu ortograficznym, odbytem w Akademii Literatury, przeniosła się z kolei do dzienników i czasopism, poziomem swym chlubnie się różniąc od zeszłorocznej kampanji wiosennej.

— Sprawozdania wyłącznie informacyjne znajdujemy w „Przyjacielu Szkoły” z 15.I. i „Haśle Polski Zachodniej” z 19.I.

— Za reformą opowiedział się w „Tygodniku Ilustrowanym” dr. Essma-

nowski, natomiast K. Irzykowski („Pion” z 8.II.) poparł stronę przeciwną, dowodząc m. in., że trudna pisownia tworzy niejako wysoki wzór, do którego ludzie piszący starają się zbliżyć; to napięcie między ideałem a rzeczywistością, rodzące dynamikę życia, jest konieczne.

Broniąc pisowni przed uproszczeniami, do ogólnych założeń sięgnął również J. E. Skiwski („Tyg. Ilustr.” z 9.II.: „Homo sapiens czy homo faber?”).

Celem pisowni nie jest i być nie może „możliwie najwierniej i najplastyczniej oddać wszystkie zależności formalne i genetyczne naszego języka”, ani też uproszczenie pisowni nigdy nie sprawi tego by „język polski został zepchnięty do roli popychadła”.

I Skiwski, i Irzykowski, ustępując niejako przed rzeczywistością, zgadzają się z K. W. Zawodzińskim, że właściwie niema nad czym rozpaczać, iż uczniowie i maturzyści piszą nieortograficznie: „Jest to niedomaganie przejściowe, które minie z chwilą, kiedy nasze szkolnictwo stanie na właściwym poziomie” (Skiwski).

Tę samą zasadniczo myśl, tylko ujętą w słowa bezwzględne, przeprowadza dr. A. Zipper w artykule p. t.: „Reforma ortografii nie może być popularna” („Il. Kurj. Codz.” z 23.I.). Czytamy tam, iż zła znajomość pisowni jest „wyrokiem potępiającym na dzisiejszą szkołę i na dzisiejsze metody nauczania”.

Autor pisze m. in. z powodu pisowni w *Zakopanym*: „dziwię się, że Akademia nie odesłała tej sprawy pedagogom, do których w pierwszym rzędzie należy”.

Ależ chodzi nietylko o nauczanie, lecz przede wszystkim o ustalenie tego, czego „pedagogowie” mają uczyć, o skodyfikowanie chwiejnych często i jakże niedoskonałych zasad pisowni!

Dr. Zipper niepotrzebnie straszy czytelników czeskimi znaczkami. Sprawa już przecie została rozstrzygnięta.

— O tem, że uczniowie nie umieją pisać ortograficznie, mówi jeszcze H. w „Kurjerze Polskim” z 22.I. („Ach, ta ortografja!”).

Autor przypomina, że pokolenie przedwojenne pisze lepiej od dzisiejszego, czyby więc dawne metody „kucia” przykładów nie były skuteczniejsze od obecnych t. zw. rozumowych sposobów nauczania?

— „Express Zagłębia” z 11.I. powtarza część niezbyt fortunnych uwag „Il. Kurj. Codz.” (z 19.XII. ub. r.) o pisowni w *Zakopanym*.

— Nieustający rozgwar dokoła spraw pisowni nieodparcie nasuwa nam dwa wnioski: U podstawy sporu leży fakt, iż ludzie nie mogą uzgodnić zdania, streszczającego się w pytaniu: co to jest pisownia? Wniosek drugi: pierwiastek uczuciowy sprowadza się tutaj do sprawy przyzwyczajenia, osobistego nawyku.

O tym właśnie czynniku emocjonalnym, ale bliżej nieokreślonym, pisze dr. K. Szczepański w artykule p. t.: „My chcemy pisać po polsku!” („Il. Kurj. Codz.” z 12.I.). Czytamy tam: „...skoro Słowackiego uznajemy mistrzem języka polskiego... dlaczego nie można przyjąć np. jego pisowni za podstawę do ustalenia reguł ortografji”. — Możeby i można, gdyby... pisownia Słowackiego była we wszystkich wypadkach ściśle ustalona.

— Sprawy pisowniane wypada nam zakończyć napomknięciem o niezbyt, niestety, udanej próbie humoru, z którą wystąpił Sing Elton („Kurj. Warsz.” z 25.I., feljeton p. t.: „Ortografja”).

To samo trzeba powiedzieć o sztychu Sęka z 19.I. Sęk bez słuszności wydrwiwa ó w wyrazie *doktór* »lekarz«.

— „Przyjaciel Szkoły” z 15.I. zamieszcza artykuł St. Pieńkowskiego p. t.: „W obronie czystości mowy polskiej”.

Autor raz jeszcze utyskuje na obfitość zbytecznych wyrazów obcych, dalej zaś wylicza „przyczyny upadku językowego doby współczesnej”. Obok rzeczy znanych, spotykamy się tu ze świeższym spostrzeżeniem: „Ogromna ilość ludzi czyta (i pisze) nietylko milcząc, t. j. bez głosu, ale nawet w sobie dźwięku słów czytanych (i pisanych) nie słyszy, a sens chwyta jedynie według kształtu znaków pisarskich”. Ten nałóg „czytania wzrokowego” stępią lub wprost zabija poczucie dźwiękowej wartości języka. Nic dziwnego więc, że spotykamy takie formy, jak np. „w *wnękach* nor”. Co prawda p. Pieńkowski przytacza przykłady z poezji, gdzie znaczna swoboda jest powszechnie uznana; nie osłabia to jednak słuszności jego uwag.

— St. Wasylewski w feljetonie „Z mojego biura studjów” („Gazeta Polska” z 2.II.) pisze o właściwościach wymowy warszawskiej, chwytych przez słuchawkę radjową.

— „Kurj. Warsz.” z 28.I. daje artykuł prof. Szobera p. t.: „Dlaczego jedziemy do *Ząbek*, a nie *Ząbków*?”.

— W „Echach Leśnych” z 26.I. kącik językowy krytykuje m. in. częste dziś czasowniki na *-ywać* typu *skierowywać*, *rozplanowywać*. W polemicznym zapale autor przytoczył formę *oddziaływywać*, której chyba ktoś użył przez pomyłkę. Zapewne, w wielu wypadkach prościejby było, jak pisze autor, „wrócić do pierwotnej formy niedokonanej”: *kierować*, *planować*, jest jednak przesadą nazywać postaci na *-ywać* dziwolągami.

— „Il. Kurj. Codz.” z 20.I. popiera propozycję d-ra inż. Aulichy, wysuniętą w „Czasopiśmie Technicznym”, by zamiast *hall* mówić *sień*. W dawniejszych czasach istotnie *sienią* nazywano część domu, odpowiadającą *hallowi* (*holowi*). Inż. Aulich zdanie swoje umacnia cytatami z „Pana Tadeusza”.

— Sęk w sztychu „Niechlujstwo” („Kurj. Warsz.” z 22.I.) słusznie piętnuje błędy językowe pewnego druku urzędowego.

— Z nienotowanych jeszcze przez nas głosów prasy o ks. Kopczyńskim wymienić trzeba artykuł prof. Szobera p. t.: „Ksiądz Onufry Kopczyński — w dwusetną rocznicę urodzin” („Przyj. Szkoły” z 20.XII. 1935 r.) oraz niepodpisane wzmianki w „Gazecie Gdyńskiej” z 14.XII. i w „Ateneum Kapłańskim”, zeszyt styczniowy.

— Prof. St. Szober ogłasza w „Przyjacielu Szkoły” z 1.II. wspomnienie o A. Passendorferze; pobieżnie ujęty przegląd prac Zmarłego znajdujemy w „Il. Kurj. Codz.” z 6.I.

— A. Spaet zamieszcza w „Wiekach Nowym” z 12.I. pochlebną recenzję o pracy J. Handla p. t.: „Dzieje językoznawstwa”. Większą część recenzji zajmuje streszczenie samej książki.

— I tegoroczny zeszyt „Języka Polskiego” przynosi wspomnienie o ś. p. A. Passendorferze pióra doc. Klemensiewicza, rozważania M. Dłuskiej i Z. Klemensiewicza o przyimkach *dla* i *do* (doc. Dłuska dyskutuje z artykułem prof. Szobera, umieszczonym w „Poradniku”, oraz artykuł ten uzupełnia, doc. Klemensiewicz stara się dopełnić zdanie obojga poprzednich autorów) i artykuł prof. Nitscha o pisowni wyrazów typu *diecezja*. Prof. Nitsch streszcza obrady Komitetu nad tą kwestją, zakończone narazie takim wnioskiem: po *s*, *z*, *c*, *t*, *d*, *r*, *l* piszemy zawsze *j*: *djecezja*, natomiast po innych spółgłoskach — *i*: *biolog*, *linia*, *kopia*.

Z zadowoleniem witamy uchwałę, dotyczącą pisowni osobno stojących wyrazów, a więc: *Tryjest*, *try(j)umf*, *klijent* (dziś wszędzie samo *i*!) — oraz znoszącą rozróżnienie dopełniacza l. mn. *lekcji* — *lekcyj*.

Zeszyt „J. P.” zawiera dalej J. Birkenmajera „Metamorfozy *Lucyfera*” (*Lucyper*, *Luciferus* i t. p.). Dużo miejsca zajmują wreszcie sprawy gwarowe, mamy bowiem trójgłos W. Węglarza, Z. Stiebera i K. Wyki o języku „Chłopów” Reymonta, uwagi o ostatnich utworach literackich, pisanych gwarą („Uwagi językowe o książkach”) i recenzję z zamieszczanych w „Poradniku” szkiców gwaroznawczych H. Friedricha. A. S.

#### OD ZARZĄDU T. K. P. i K. J.

Sprawozdanie z działalności T-stwa w roku ubiegłym oraz sprawozdanie z Walnego Zebrania w dn. 31.III umieścimy w przyszłym zeszycie.

---

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO:  
STANISŁAW MACHOWSKI

KOMITET REDAKCYJNY: JAN RZEWNICKI, PROF. STANISŁAW  
SŁOŃSKI, PROF. STANISŁAW SZOBER

---